



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Schronienie dla Nauczycielek w Warszawie.

Lata młode spędzić na tem aby się do pracy maturalnej przygotować, lata dojrzałe na tej ciężkiej pracy przeżyć, na starsze lata zostać z zasobem dość dużym gorzkich doświadczeń a nieraz małym—zdrowia, z gromadą wspomnień często smutnych, ze stosem rozrywanych złudzeń, z ludzką niewdzięcznością a kieszenia nielewkie że pusta, to istotnie los bardzo trudny, los na który tylko dusze odważne zgodzić się mogą, przyjmując za całą nagrodę przepracowanego żywota, tu i owdzie, od czasu do czasu, spotkaną wdzięczność, uznanie, serdeczne ciepło i własne przeświadczenie spełnionego obowiązku. A jednak, ileż tych istot odważnych idzie, dąży, spieszy się nawet w najlepszej nadziei, z gorącą otuchą z wiarą w nauczycielską pracę, nie zrażając się trudnościami, nieść ten kaganiec jasny wiedzy, z zaparciem siebie nieraz spełniając nader trudne zadanie tego stanowiska, a wiadomo przecie, że jeszcze olimpijskie bogi chcąc śmiertelnika ukarać—skazywały go na los bakałarza. Pole nauczycielskiej pracy, do niedawna, było prawie jedyną gałęzią samodzielnego zatrudnienia dla kobiety, jeśli nie zajmowała się gospodarstwem lub igłą; to też nauczycielek było i jest bardzo dużo i zawsze ich będzie spora ochocza gromadka, bo zawód ten oprócz materialnego bytu daje kobiecie pole do wpływu duchowego, do dzielenia się sercem, do, że tak rzekę służby dla ideału, a są to ponęty, które zawsze kładą się na sercu i osładzają ciernisty grunt tego gościnca. Póki więc siły, zdrowie, okoliczności sprzyjają, pracują setki kobiet jako nauczycielki, rządowe, u siebie w domu, w zakładach wychowawczych lub domach obcych rozrzucone po świecie

i jakoś to życie płynie, obowiązki czas pochłaniają, niewielkie fundusze idą na potrzeby własne lub rodziny, aż naraz staje się u pewnej mety i wszystko się urywa; zmęczenie bierze górę, umysł się nuży, choroba niemożebnia pracę, z ustaniem zajęcia przecinają się dochody, i jeśli nie uzbierało się sobie jakiego fundusiku na taką chwilę, to czeka bolesne tułanie się z miejsca na miejsce, niedostatek zupełny, gorycz tej świadomości, że się pracowało ciągle dla drugich, a niema się dla siebie nawet „na życie.“ Wtedy czuje się, że owe „środki“ do życia są jednak tem ważnem centrum, do którego schodzić się powinien początek z końcem, a praca, do której się szło z zapalem, nazwaną zostaje wówczas — niewdzięczną, zawodną, choć w samej istocie rzeczy tak nie jest, boć gdyby—początek był myślał więcej o końcu, toby się i te niezbędne „środki“ w danej chwili znalazły. Ale na to trzeba przezorności. Przymiotu tego, a raczej tej—eno, nabywa jednostka i społeczeństwo doświadczeniem.

Doświadczenia te razem wzięte, mądrość przebytej próby, rozum cierpienia, współczucie dla tych, który go nabyli, oszczędność i hojność, stworzyły instytucję, która stała się cichą przystanią dla zmęczonych, domem odpoczynku, niejako rodzinnem gniazdem, słowem: *Schronieniem dla Nauczycielek.*

Pójdźcie, moje miłe czytelniczki, zwiedzimy razem to Schronienie, niedaleko, na Zielnej, Nr. 9. Jeśli mieszkacie w Warszawie, a nie byliście tam nigdy, to źle, jeśli mieszkacie na prowincyi, a nie wiecie o niem, to też źle i—niebezpiecznie, bo jeśli póki wam dobrze, obojętnie odnosicie się do instytucji, to na jakimże prawie odniesiecie się kiedyś w cięższej chwili do jej gościnnych progów?

U tych dobroczynnych progów wita nas przełożona Schronienia, P. Józefa Kamocka i ze zwykłą swą mądrą słodyczą i serdeczną troską opowiada nam dzieje tej przystani, oprowadza po całym mieszkaniu, gdzie w kilkunastu pokojach widzimy schludne i miłe staruszki, tę z robotką, tę z książką,

tę z gazetą; tam znów młodsze nauczycielki, które czasowo przebywają między jedną posadą, a drugą, tam znów inne, które przybyły odetchnąć, odpocząć w tem powietrzu rodzinnem prawie, gdzie się czują jak u siebie, jak pod dachem rodzinnym.

Te kilkadziesiąt osób, bo obecnie jest w schronieniu nauczycielek 35, administracya miejscowa liczy 3 osoby, służby 6 osób, żyją ze sobą wspólnie jak liczna rodzina, a nauczycielka wehodząc do tego grona, biedna, samotna i skołatana, znajduje tutaj mieszkanie, pożywienie, pranie, światło, bieliznę, lekarstwa, doktora, opiekę, pociechę, w ostatecznym razie i pogrzeb i — pamięć nawet, bo odczuliśmy to w westchnieniu Przełożonej, gdy nam opowiadała o tych, które opuściły schronienie na zawsze. I za to wszystko, albo nie nie płaci jeśli bardzo biedna, co musi być poświadczonem przez dwie wiarogodne osoby, albo wedle orzeczenia Zarządu wnosi pewną opłatę, w każdym razie niewielką. Jest i mała już biblioteczka, są pisma peryodyczne, jest kapliczka z ołtarzykiem dla wspólnej modlitwy, jest salon i duży pokój stołowy jeden i drugi, czystułka kuchnia, pralnia, spiżarnia, i to wszystko czego gospodarstwo wymaga.

Czas jest rozdzielony porządnie, wszystko ma swoją godzinę i cała maszyna wewnętrzna idzie zwawo, pogodnie, akuratanie. Tylko już im tam bardzo ciasno tym przeszło 40 osobom w wynajętym mieszkaniu, przydałby się dom własny, i jest nadzieja, że będzie, bo już jest dobry, hojny początek. Pan Jan Bloch ofiarował grunt, pani Emilia Janowa Blochowa ofiarowała znaczną sumę, inni coś dorzucili i jest na czem się oprzeć, aby i do innych dobrych serc zapukać o gorące poparcie tej sprawy. Jakże one wzdychają te wszystkie pracowniczki zmęczone do szerszych pokoi, do swobodniejszego miejsca, do jakiegos choćby małego ogródka lub werandy na lato, do tego poczucia się na własnym gruncie, naprawdę — u siebie! Wtedy by Schronienie mogło swe wrota otworzyć większej liczbie potrzebujących, które często dziś odejść muszą z niezem

bo istotnie ani kącika nie ma wolnego, ani grosza na większy wydatek, bo samo wynajęcie mieszkania kosztuje rocznie wraz z podatkiem 3,403 rs!

Suma ta pożera ogromną część dochodu, ileżby za to osób znalazło pomieszczenie i spokój!

Dom więc własny jest obecnie głównym punktem życzeń Zarządu Schronienia. Suma na budowę jest dzisiaj jeszcze tak nieznaczna, że nawet zacząć nie można wstępnych robót i trzeba czekać, aż dobroczynne ludzkie chęci dorzucą cegiełkę po cegiełce do tego domu, za którym tyle osób tęskni. A wiecie, co najbardziej utrudnia rachunki Schronienia? Nie zbyt mała liczba członków, założycieli, rzeczywistych i wspomagających, sporo ich jest jak na niedawno powstałą instytucję, lecz — *nieakuratność* w uiszczaniu opłaty tychże członków, nieakuratność, opieszałość, która jest klęską istną każdego stowarzyszenia polegającego na barkach *wielu*; jeśli wszyscy razem podtrzymują ciężar, staje się on lekkim i utrzymuje się w równowadze, jeśli jedenspuszcza się na drugiego, musi się zachwiać budowa i runąć nawet może. Gdyby dane jednostki zastanowiły się zechciały nad tem, że *nieślawność* jest wielką niedojrzałością ducha, że niewypelnienie tak małej rubryki jak 5 rs. rocznie lub 10, usuwa niejedną z tych biednych pracownic ze Schronienia, gdyby zechciały w sobie wyrobić ten królewski isticie przymiot stawiania się *na czas*, w porę, wedle statutu, z tak drobną wkładką jak parę rubli, która jednak zmienia budżet stowarzyszenia, toby może nie było takiej dużej liczby opieszających, nie byłoby takich luk smutnych w księgach Schronienia, a rachunki by się przecie wyrównały. Strach przejrzyć te księgi wszystkie rachunkowe, wykazy, kontrole, które z taką umiejętnością gorliwą i drobiazgową dokładnością prowadzi pani J. Kamocka swoją własną ręką, wraz z członkiem — kasyerem Zarządu p. J. Bielskim, tyle zasłużonym i tak szczerze pracującym dla dobra Schronienia, strach mówię, bo obok bezinteresownej, ofiarnej pracy tych osób, widzi się iluż tam ludzi zaległo. A gdyby tak wszyscy zrobili? to co? To instytucja by upadła. A tak, szanowni czytelnicy, każdy by sobie musiał wyrzucać, że to on winien, tak, jak każdy chlubić się ma prawo, że swoim choćby małym ale *pewnym, niezawodnym* datkiem, *utrzymuje* Schronienie. Musiano dodać do statutu § 3 następującą uwagę: — Członkowie, którzy nie wnieśli rocznej opłaty w pierwszej połowie roku, uważani będą za zrzekających się tytułu członków. Myślę że to wystarczy na przyszłość jako pobudka do akuratności, boć to przecie miło coś razem z drugimi dobrego, pożytecznego czynić, do czegoś porządnego wspólnie należeć. Na czasie tu będzie postawić kilka cyfr wedle ostatniego sprawozdania z roku 1895. Inne dane znajdują czytelnicy w *Ustawie* Schronienia, a to już chyba wszystkim wiadomo, że rządzi losami instytucji Rada Opiekunów w liczbie 18 osób i Zarząd Schronienia.

W ciągu 1895 było nauczycielek:

Stałych	32
Czasowych	125
Razem	157

Na rok 1896 pozostało:

Stałych	31
Czasowych	4
Razem	35

Opłaty Członków, założycieli, rzeczywistych i wspomagających, wynosiły	rs. 2,619	k. —
Ofiary osób prywatnych	" 473	" 15½
Opłat od Nauczycielek za pobyt	" 893	" 55
Umówiona opłata za pobyt Naucz. z ich funduszu do 1 Stycznia 95 r.	" 884	" 30
Procent od kapitałów stałych	" 1,696	" 91
Z koncertu w sali Ratusza	" 1,036	" —
Różne dochody	" 1,826	" 74

Wpłynęło w r. 1895 rs. 9,429 k. 65½

Dalej wpłynęło kilka legatów z zapisów, które wynoszą sumę 9,750.

Fundusz własny Schronienia pozostały z przewyżki dochodów i z legatów wynosi rs. 29,792 k. 30½
Fundusz Nauczycielek rs. 1,188.

Wydatki:

Najem lokalu i podatki	" 3,403	" —
Żywność	" 3,820	" 32½
Opał i światło	" 337	" 54½
Pranie bielizny	" 250	" —
Płace Administracji i służby	" 834	" 08
Utrzymanie chorych i lekarstwa	" 66	" 93
Potrzeby Stypendystek i różne wydatki	" 548	" 36½
Na kancelaryę i materiały piśmienne	" 146	" 46

Razem w R. 1895 wydano: rs. 9,406 k. 70½
Przewyżka wpływów nad wydatki rs. 22 k. 95

Zatem przewyżki jest tylko 22 rs. 95 kop!

A ile by było tej przewyżki, gdyby *wszyscy* członkowie byli pospieszili *na czas* ze swoją opłatą?

A może to różnica na setki? zatem na setki strata dla biednej instytucji! Warto wziąć to bardzo, bardzo do serca, nieprawdaż?

A oto jeszcze, niektóre przeciętne obliczenia:

Żywność jednej osoby w Schronieniu dziennie: kop. 23½

Całkowite utrzymanie jednej Nauczycielki t. j. żywność, mieszkanie, opał, światło, odzież, kosztą kuracyjne, usługa, pranie i t. p. kosztowało dziennie kop. 56¾

Utrzymanie jednej osoby w ciągu roku 1895 kosztowało rs. 204 k. 30.

Nie rozszerzając się dalej nad szczegółami, które sprawozdanie podaje, wolę podnieść to, czego w sprawozdaniu nie ma, ale co się znajduje w serdecznym statucie pani Janowej Blochowej, wiceprezyszącej w Radzie Opiekunów, która jest istotną opiekunką Schronienia, hojną, rozsądną i energiczną. Ten sam życzliwy statut wypełniają gorliwie dyrektor Zarządu Schronienia X. Z. Chęłmicki, kasyer p. J. Bielski, panna Antonina Powiatowska gorąco i umiejętnie popierając Schronienie przez urządzenie koncertów, bali i t. p. na dochód instytucji, co już niejednokrotnie wzmocniło fundusze i jedna szersze zainteresowanie się Schronieniem.

A kto zechce przestąpić progi tego miłego, cichego portu, spotka tam, jakby stworzoną do rządzenia tymi rozbitkami losu, potrzebującymi dobroci, słodyczy, wyrozumienia, — P. Józefę Kamocką, autorkę „Zdrowaś Maryi“ i „Bądź wola Twoja“, która i pisanem i żywym słowem umie dodać otuchy cierpiącym, uśmiechać się do zgorzkniałych, pisać całe kolumny cyfr, troszczyć się o drobiazgi spożywcze i panować silnym duchem nad usposobieniami kilkudziesięciu osób podrażnionych życiem i pracą.

To też miłe i zajmujące wrażenie czyni to Schronienie Nauczycielek, a pozostaje mi tu do nadmienienia jeszcze tylko jedna uwaga, którą kieruję właśnie do nauczycielek, pracujących jeszcze w pełni sił na świecie. Dlaczego *one* właśnie tak mało, tak skąpo, tak nielicznie popierają tę przystań bezpieczną, gdzie kiedyś mogłyby znaleźć spokój i wygodę? Nie trudno to w ciężkiej pukać próbie o gościnność do Schronienia, ależ trzeba mieć jakieś małe choćby dane do tego, jakąś zasługę, jakieś prawo zażyłości z instytucją, jakieś kilkanaście lat bycia członkiem, jakąś własną cegłę w tym domu, gdzie się chce używać potem wszystkiego. Nie można liczyć jedynie na hojność ludzką, bo ta nie jest też studnią Danaid, do gotowego przychodźcie nie sztuka, lecz konieczność, młode, silne, w pełni zarobkowej pracy żyjące nauczycielki — *powinny* się łączyć ze Schronieniem przez liczne i stałe garnięcie się na członków i wyrobienie Schronieniu imienia i popularności na prowincyi i w dalszych częściach kraju.

Z czasem pewnie przyjdzie i do tego, że bujające swobodnie ptaki odwiedzić zechcą to własne przecież gniazdo w celu podtrzymania go i ratowania, aby później, gdy los skrzydła znuży lub podetnie, mieć prawo powiedzieć u wrót Schronienia — to ja, swój!

Tyle tam już dziś panuje ciepła, spokoju, ciszy, odpoczynku, że każdemu chęć przychodzi zatrzymać się tam chwilę, jak „swój“, zobaczyć, posłuchać, nauczyć się i pójść dalej z najżyczliwszem dla Schronienia uczuciem — Szcześże Boże!

Szczęśna.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

— Dziwi mnie to — zaczęła z udaną słodyczą. — Wszak matka twoja, Jeanne, powinna to rozumieć, że życie w Paryżu bardzo jest kosztowne...

Janina spojrzała na nią zdziwiona.

— Ależ wujenko! Mama tak regularnie przysyłała dotąd pieniądze...

Jak ona nie lubiła tej Grodzkiej. Zadomowiona, wiecznie skwaszona i stękająca przypominała jej kulę galerniczą przyczepioną do nogi biednego męczennika — meża.

Skąpa przytem była niesłychanie i przymiot ten, arey nieprzyjemny gdy zbyt szeroko pojęty, starała się w każdym zaszcześcić.

Co godzina niemal kłóciła się z kucharką o niedoważony łut mięsa, o kropkę rozlanego mleka, o drzazgi i zapalki których wedle jej wyrachowania ekspensowano za wiele. Gdyby ta maksyma oszczędności groszowej umiejętnie była zastosowana, miałyby swoją rację bytu, lecz ta wkraczała w namiętność obrzydliwego skąpstwa i Janina oswoić się z nią nie mogła.

Homeopatycznie wymierzane kawałki cukru, obrzydliwy odwar cykoryowy zamiast smacznej, polskiej kawy do której wdychał Grodzki, jakieś mdłe szwajcarskie zupy i zieleniny w obec ciągłych przyarów: że tego wyszło za wiele, a tamto się zmarnowało, raziły niezmiernie Janinę.

— Matka twoja, Jeanne — odezwała się Grodzka — wyobraża sobie z pewnością, że my jesteśmy kapitalistami... Gdybyś była praktyczną *ma petite*, widziałabyś rze czy w prawdziwym świetle i wyprowadziła ją z błędu.

Janina uśmiechnęła się ironicznie.

— Na czemże polega moja niepraktyczność? — spytała. — Chcąc oszczędzić Julietkę, piórę i prasując sobie sama kołnierzyki i mankiety, — czego przecie nigdy dawniej nie robiłam; — ceruję bieliznę, przy ubieraniu nie wzywam nikogo do pomocy. Jednym słowem, staram się jak najmniej miejsca i ludzi sobą zajmować.

Zapaliła drugą świecę i przygotowała, przybory do pisania, dając poznać Grodzkiej, że mimo pory spóźnionej czeka ją jeszcze praca; lecz wujenka nie zwróciła na to uwagi.

— Chcę cię prosić, Jeanne, — rzekła kiwając się melancholijnie na krzesło, — abyś napisała do matki, żądając powiększenia przeznaczonej na utrzymanie twoje w Paryżu sumki. Zbyt mało mi płacisz, a pojmujesz to chyba, że śmiesznem byłoby, poświęcać własne dzieci dla rodziny. Wuj ciężko pracuje; widzisz to sama.

Pałacy rumieniec upokorzenia oblał dumną twarz Janiny.

— Któżby wymagał jakichś poświęceń, wujenko! — zawołała. — Dotąd sądziłam, iż sumka jaką płacę, jest zupełnie wystarczającą. Wymagania moje są bardzo skromne i wszak wujenka sama oznaczyła, ile mam płacić?

Grodzka zmieszała się nieco.

— Nie wiedziałam, nie przypuszczałam *ma mignonne* — odezwała się słodko. — Ja jestem delikatną i nie potrafię dopominać się... Matka twoja powinna była uwolnić mnie od tego. Niepodobiestwem jest, przyznasz to sama, wyzyskiwać pracę tego biednego wuja.

Janina zerwała się z krzesła.

— O wujenko! tego już za wiele! — wybuchnęła. — A więc szczerze za szczerze! Pieniądze które tu płacę, dałyby mi z pewnością byt wygodniejszy gdzieś indziej. — Lecz potrzebowałam opieki i serce życzliwych, oddalona od swoich, samotna... Głos jej drżał, starała się jednak zapanować nad roz-

drażnieniem. — Dlatego jedynie zastosowałam się do niemożliwie skromnych warunków i drobnych oszczędności jakie wujenka odnośnie mej osoby przedsiębrała... — ciągnęła dalej na nie już nie zważając. Zbyt boleśnie dumę jej drażniło.

Grodzka wzruszyła ramionami.

— Za taką marną płacę miałas wszelkie wygody, Jeanne...

— O tak! — wybuchnęła Janina. — Kupowałam sobie i kupuję czekoladę na mieście by gryząc ją oszukać apetyt. Nie skarzę się jednak, lecz wyrzutów niesłusznych nie zniosę.

— Jesteś bardzo popędliwa, Jeanne. Nie jednokrotnie to zauważałam. Ale ja dużo znieść potrafię, nawet od kuzynki mego męża...

Grodzka mówiąc to, ma minę otiary.

Janina z wolna opanowywała wzburzenie.

— Niechże się dowiem nareszcie czego wujenka sobie życzy? — spytała.

— Napisz jutro do matki, Jeanne — wyrzekła stanowczo. — Według mego obrachunku wuj dokłada jeszcze do utrzymania twojego... Przyznasz, że pozwolić na to nie mogę.

Głęboka zmarszczka przecięła czoło Janiny.

— Nie napiszę, wujenka! — odparła z mocą. — Mój rachunek bowiem wykazuje zupełnie co innego. Natomiast, nie chcąc być ciężarem wujostwu, wyszukam sobie inne *locum*.

— Gdy cię gniew ominie, uznasz, że mam słuszość... — odezwała się chłodno Grodzka. — Szkoda, że matka nie domyśliła się sama... Polacy lubią wyzyskiwać...

Opuściła szybko pokój lekając się, by ostatni pocisk, nie sprowadził wybuchu ze strony Janiny.

Janina patrzyła za nią osłupiała. Jakiem prawem ta zimna, skąpa kobieta nagadała jej tyle upokarzających, nieprzyjemnych rzeczy? I co ona, Janina, pocznie teraz z sobą?

— Mamie widocznie ciężko, skoro o dni kilka opóźniła wysłanie pieniędzy ona, tak akuratna dotąd — myślała, domysłem tym przerażona. Ze skupioną uwagą przeczytała raz jeszcze list matki.

Tak, niestety! Z okrągłych, eleganckich literek pisma wyskakiwały teraz ku niej jakieś złośliwe demony codziennych walk i kłopotów.

Trzeźwą, praktyczną myślą mózg jej zbudzony nagle, odgaduje teraz wiele rzeczy nad którymi nie zastanawiała się dotąd.

Sztuczny spokój, chęć zamaskowania przybraną wesołością i swobodą dojmującej troski, zabiły ją jak wyrzut.

Zaczęła obmyślać środki ulżenia matce przebiegając gorączkowo pokój.

Pierwszy: wynajęcie sobie jak najtańsze mieszkanko...

Tu uderzyła ją myśl nowa.

Czy będzie mogła zamieszkać sama? Co powie na to matka, świat, opinia? Zaraz atoli odezwała niekonsekwencyjne obawy tej, zadając sobie pytanie: Kto spętał kobietę takimi nielogicznymi przesadami? Czy to nie jest zbyt bezwzględne ścieśnienie i tak już niewygodnych warunków pracujących i samotnych kobiet?

Gorzki, pół ironiczny uśmiech błdził po jej twarzy w miarę jak zastanawiała się nad tą kwestją. Kto temu winien, jeśli nie kobiety? Lekkomysłność ich, romansowa wyobraźnia, zalotność!

Gdyby posiadały dumę szlachetną i poczucie własnej godności, gdyby postępowaniem swoim umiały pokazać sobie szacunek, opinia ludzka milczałaby nakazana niemożnością wynalezienia jakichś stron ujemnych. Przypomniła sobie jak piękna Eliza i niektóre studentki mieszkające same, urządziły jednak u siebie przyjęcia męskie, narzucały się kolegom. Wszak wielokrotnie oburzała się na to.

Projekt tedy opuszczenia niegościnnego domu wujenki, znalazł przeszkodę.

Janina biegła po pokoju jak ptak uwięziony w klatce.

— Kiedyż nareszcie kobiety zrozumieją, że od nich jedynie zależy pozbyć się powijaków — myślała upokorzona. Dziś każdemu wolno obrzucić je lekceważeniem, każdy ich krok tłumaczyć fałszywie...

W ciszy nocnej gdzieś z sąsiedniego mieszkania ozwał się zegar. Dźwięk jego zelektryzował Janinę.

— Północ! — szepnęła. — Tyle czasu strawiłam na rozmyślaniach i w dodatku zabrać się muszę do lekcji, nie nie postanowiwszy.

Przyszła jej na myśl Natałka Białecka.

— Że też ja o niej zapomniałam — rzekła sobie z pewną ulgą. — Natałka może mi coś doradzi...

Wkrótce potem w pograżonej we śnie kamienicy, w jednym tylko oknie błyszczało światło. Ręka Janiny uzbrojona piórem posuwała się szybko po papierze; świat zewnętrzny zniknął z jej pamięci.

IV.

Deszcz lał potokami. Na ulicach powstawały szybko kałuże, przepełnione rynsztoki odrzucały wodę która się dobywać zaczęła do piwnic, a niekiedy i do suteryn zamieszkałych wpadała jak gość nieproszony.

Na ulicach pustki. Kto żyw, do domu ucieka. Szybko przejedzie dorożka i znowu cisza, przerywana jeno bulgotem wody i szumem dzwoniących o szyby kropli.

Wieczór zapada. Zimny, słotny, ponury wieczór, z rozplakanem, ołowianem niebem i żółtymi przypominającymi światło gromnicy płomykami latarni.

Właściwie palą się one bez użytku; bo w tej orgii jesiennej, gdzie wichur z deszczem idą w zawody, biedny przechodzień jeśli go los do przechadzki zmusi, końca swego własnego nosa dostrzedz nie może.

Do skromnej kamienicy przy ulicy Browarnej weszła skulona, drżąca od zimna, Orzełńska. Przemokła do nitki. Z okrywki, z kapelusza ociekała z wolna brudna woda deszczowa, pozostawiając błotniste za sobą plamy. Wykręcony od wiatru i połamany parasol trzymała w rękach zaopatrzonych wprawdzie w zużyte rękawiczki niemniej zmoczone i przeziąknięte deszczem.

Obrzydliwa woń cebuli, przypalonej pieczeni, wykipiających na blacie kuchenny sosów uderzyła wchodzącą.

Zatrzymała się zaraz na pierwszych schodach i zakaszła.

Młde światło kopcejącej lampki padło na twarz jej zmęczoną i pobladłą. Krople deszczu z rozspanych w nieładzie na czołe włosów zbiegały ku oczom, jak gdyby ochłodzić chciały żar w głębi ich tlejący. Ocieżałym krokiem posunęła się dalej.

Idąc, co chwila odpoczywała. Pierś jej pracowała ciężko, oddech miała krótki, chrapliwy. Za każdym skrzypnięciem spróchniałych schodów, chwytala instynktownie poręcz, przymykając oczy. Nerwy wypowiedziały jej posłuszeństwo.

Na pierwszym piętrze usłyszała dźwięki fortepianu wesołe, skoczne. Ktoś widocznie spokojny i szczęśliwy, grał zawrotną polkę, starą odwieczną polkę, którą ona pamięta jeszcze wówczas, gdy na ramieniu Wacława wsparta, przebiegała w jego objęciach elegancki salonik w Zambrówce.

Skoczne dźwięki zahypnotyzowały ją. Nie czuła zimna ani wilgoci którą odzież i ciało przeziąknięte były. Stłumiła nawet kaszel wyrwyjący się z piersi zalanej teraz ciepłem jakimś ożywcem.

Jak to pamięć wszystko dokładnie odtwarza!

Wszak ona czuje na swej zziębłej twarzy gorący oddech Wacława, jego rozmarzone, spojrzenie obiecające jej szczęście bez granic, woń fiołków które mu sama własnoręcznie do klapy tużurka przypięła.

Na parterze drzwi z łoskotem otwarto.

Podniósł się obłok pary skipiałego mleka wraz z piskliwym dyszkantem wybiegłej do sieni jejmości.

— Niezdaro, leniuchul wynoś się na złamanie karku...

Orzełńska drgnęła. Wspomnienia pierzechnęły spłoszone szorstką dłonią rzeczywistości.

Powlokła się wyżej ku górnym piętróm, ścigana ordynarnym dyszkantem właścicielki garkuchni, odbijającej czynnie na plecach służącej utratę mleka.

Na trzecim piętrze, na facytce raczej przystała.

Zacerpnąwszy powietrza zdławionym głosem zawołała:

— Zosiu, Zosiu!

Wnet po za drzwiami wszczął się ruch. Wysooka, nadmiernie szczupła i wybujała dziewczyna otworzyła szybko drzwi.

Smuga jasnego światła objęła skurczoną postać u proga stojącą.

— Mama! — jęknęła Zosia. — Taka zmoczona i przeziębła...

Ujęła w pół matkę i wprowadziła do pokoju.

Właściwie była to izdebka o snuficie opuszczonym tak nisko, że prawie schylać się trzeba było chcąc spotkania z nim uniknąć. Dwa małe okienka za cały widok mające mur przeciwległej oficyny, skąpo udzielały światła nawet w dzień jasny, słoneczny kiedy go wszędzie była obfitość.

Sprzęty skromne, ubożuchne. Stół drewniany biały w pośrodku; przy ścianach łózka szaremi wojłokowemi kołdrami nakryte, maszyna do pończoch i kilka stołków stanowiły całe umeblowanie.

Na stole, snadź ostatni zamożności dawnej zabytek, paliła się duża lampa brązowa o delikatnym bladoróżowym kloszu, kładąc się różowawy odcień na mizerne twarze obecnych i jasne światłem zalewając ubogą izdebkę.

Z sąsiedniej kuchenki wybiegła Irenka z Wacławem.

Pierwsza, ze zwykłą sobie żywością, rzuciła się ku matce, całując mokre jej ręce, z których delikatnie ściągała rękawiczki.

— Ach mamusi! — szeptała pieszczotliwie. — Jakie palce czerwone, jakie zziębłe mój Boże! I mamusia z Marszałkowskiej ulicy szła piechotą?

— Tak, moje dziecko!

Irenka pełnemi łez oczyma ogarnęła postać matki.

Wzrok Zosi dziwnym ogniem zapłonął. Podniosła harde czoło jak gdyby wyzwąć chciała do walki ten los tak im wrogi, skazujący ich na zagładę mimo nadludzkich niemal wysiłków utrzymania się na powierzchni. A powierzchnia ta, — ona już odgadła ją niestety! — Z pozoru niewielkie pasmo wody błękitnej w której się zielona trawa przegłąda, a w głębi moczary i trzęsawiska i biada temu, kto się da porwać złudzeniu i dotknie stopą lśniącej powierzchni.

Orzełńska blade uśmiech przywołała na usta.

— Jak to dobrze, że ja już w domu... — szepnęła. — Jak tu u was jasno i miło!

Rozejrzała się wokoło z uczuciem błogiego zadowolenia.

— Najuboższy kącik byle własny... — dodała ze łzą w oku.

Dziewczęta przebrały ją w barchanowy szlafrok, którego najważniejszą i jedyną zaletą było, że nie miał z deszczem żadnych bliższych, poufalszych stosunków.

— Niechno mateczka tu siada — zapraszał Wacio, przysuwając stary fotel do kominka. — Doskonale się wypaliło. Niedawno zasunąłem blachę.

Irenka wzruszyła ramionami.

— Co też mówisz! Dym chciał nam oczy wygrzyźć.

Chłopak roześmiał się wesoło.

— Co tam dym! Nie bierze go się w rachubę, bo gdzie jest ogień, tam i dym być musi. Niech panna nie wybredza.

— Szczęśliwy! — mruknęła przez zęby Irena. — Chociażby dom mu na głowę się walił, twierdziłby, że tak być powinno!

Orzełńska pogładziła głowę chłopca.

— Nie łaj go, — rzekła. — Jemu z tem lepiej będzie... Ubóstwo nasze nie pozwala marzyć jak o twardej walce. Niechże nie stanie do niej z gorczyzą i zniechęceniem.

Irenka z szyderym uśmiechem który szpecił zwykle jej piękną aczkolwiek bardzo mizerną i wychudzoną twarzyczkę, zajęła się przygotowaniem do wieczery.

Bochenek chleba, parę bułek dla matki, trochę cukru w szklannym kloszyku stanowiły całą zastawę.

Orzełńska rzuciła okiem na stół i westchnęła.

— Nie zostawiajcie dla mnie bułek, — rzekła. — To zbytek: Zresztą ja chleb wolę...

Zwróciła się do młodszych dzieci.

— Oczywiście Irenko zamoczyłaś nogi wracając z pensyi?... Wacio prawie bez podeszew ma obuwie...

— Uspokój się, matuchno! — odparł wesoły chłopak. — Ponieważ w moich kamaszach są istotnie pewne ujścia, któremi woda się dobywała, Zosia wspaniałomyślnie ofiarowała mi swoje stare kalosze.

— Jakże łatwo mogłeś się przeziębienie...

— Mamol! Cóżby Kneipp na zacołanie takie powiedział? — zawołał, śmiejąc się chłopak. — Woda przecież czy w butach czy w żołądku, nie szkodzi...

Orzelińska po chwilowym ożywieniu wywołanem widokiem dzieci do których w ciągu dnia całego tęskniła, wpadła w odrętwienie.

Całodzienna praca, walka z wiehrem i deszczem w powrocie do domu, nie opuszczając ją ani na chwilę gnębiące myśli o niepewnym jutrze, zawładnęły fizyczną i moralną stroną jej istoty.

Wsparła głowę na poręczu krzesła i przymknęła powieki.

Różowy płomień lampy igrał w jej włosach z mnóstwem srebrnych nitok ukrywających się w ich splecionej gestwinie, ślizgał się po twarzy zmienionej i postarzałej. Jakkolwiek ubóstwo odebrać jej nie mogło tego co natura dała, owej cechy krwi szlachetnej przebijającej w każdym rysie i ruchach znękaney kobiety, położyło jednak swój stygmat zniszczenia, ryjąc bruzdy w koło ust bólem ścigniętych, oczu od łez spłowiałych.

Tyle lat, tyle męki! Po jasnym wstępie do życia ile rozczarowań, jakie ciemne, ponure obrazy!

Zosia z kubkiem herbaty stanęła przed matką.

— Niech mama wypije herbatę i położy się... — rzekła prosząco.

Orzelińska machinalnie wyciągnęła rękę po kubek, wyszła, zżółkłą rękę, która z osłabienia drżała, dzwoniąc łyżeczką o kubek.

Wysmukła postać dziewczyny zgłębiała się szybko ku nogom matki podstawiając dłoń w miejsce spodeczka.

Kilka gorących kropli spadło na jej spracowaną rękę, lecz wrażenie fizycznego bólu obcem jej było w obec męczarni jaką widok matki sprawiał.

Orzelińska z trwogą spozierała jej w oczy.

— Czy też masz jeszcze cokolwiek na jutro, Zosiu? — spytała, tłumiąc kaszel.

Dziewczyna spuściła szybko głowę. Wycierając bardzo starannie krople herbaty rozlane na sukni matczynej, odparła wymijająco:

— Niech mateczka będzie spokojną. Chyba dzisiaj przy takiej niepogodzie targ był mniejszy w sklepie, nieprawdaż? Matuchna nie potrzebowała się tak uwijać... Jakież to nużące zajęcie! Ten woła tego, ów tamtego, a każdy nalega żeby prędzej, bo mu się śpieszy. Wolę ja swoją maszynę...

Wysilała się na dobry humor, bo już oddawna okłamywały się wzajemnie, by nie przysparzać sobie bólu.

Więc i teraz Orzelińska odpowiedziała nieszczerze:

— Istotnie, odpoczywałam dzisiaj...

Wzmianka o sklepie sprawiła jednak, że bladą jej twarz przebiegł kurecz spazmatyczny i dreszcz wstrząsnął wątłą postacią. Odsunęła kubek z herbatą.

— Może później... — tłumaczy się, natarczywie proszącą Zosi. — Teraz niebym przekonać nie mogła.

Dławiło ją coś w gardle.

Dziś właśnie w sklepie „Merkurego“ gdzie od miesięcy kilku sprzedawała towary, wymówiono jej miejsce.

Zarząd miał słusność, bo przecie nie jest to żadna instytucja dobroczynna, a taka niezaradna sklepowa jak ona, do niczego przydać się nie mogła.

Chciała, Bóg jej świadkiem! Czegóżby ona dla dzieci swoich nie uczyniła. Ale cóż z tego, kiedy niepraktyczność jej na każdym kroku wychodziła na jaw. Jednej nie dowazyła, drugiej zważyła więcej niżeli się należało, służące przybiegały ze skargami, okazało się wreszcie, że chęci dobre nie wystarczają.

— Pani w salonie siedzieć na kanapie a nie w sklepie się uwijać... — zrobiła raz uwagę jakaś służąca, patrząc jak drobne, arystokratyczne ręce Orzelińskiej borykały się z kilkofuntowym kawałem mydła.

Wytworna jej dystynkcyja, cierpiąca twarz o czystych, szlachetnych liniach budziły w jednych sercach litość, w innych gniew poprostu.

Nie umiałyby wybrać, co znośniejsze: czy owe objawy współczucia, czy gorzkie słowa prawdy, owej bezwzględnej prawdy, która wyrzuca człowiekowi nieudolność jego i każe mu wstydić się, że zabiera miejsce innym.

I oto nadeszła chwila, gdy grzecznie, ostrożnie uwiadomiono ją, że od pierwszego dnia przyszłego miesiąca zastąpi ją inna, zdrowa, praktyczna, nadająca się więcej do warunków obecnych, jakkolwiek osobiście jej, Orzelińskiej, nie mają nic do zarzucenia.

Cios był tak silny, że na razie ogłuszywszy ją, unicestwił wrażenie bólu i trwogi, najwyższej trwogi o jutro.

Za to teraz wystąpiła ona w całej doniosłości spełnionego faktu i sępiemi szponami wżarła się w serce i mózg nieszczęśliwej.

Po tylu staraniach bezowocnych udało jej się nakonieć zdobyć to miejsce. Traktowano ją uprzejmie, nieledwie z uwzględnieniem dawnego stanowiska jakie zajmowała, tolerowano z początku niepraktyczność, wypłacano pensję regularnie.

Cóż z tego kiedy nie potrafiła zastosować się do wymaganych warunków, nie potrafiła przełamać swej natury.

Zosia postawiwszy obok matki odepchnięty kubek z herbatą, odeszła do swojej maszyny która też wnet turkotać zaczęła.

Kiedy niekiedy smutnym wzrokiem spoglądała na siedzącą nieruchomo matką i przygryzała wargi by płaczem wielkim nie wybuchnąć.

Przeczuwała, że znowu coś nieprzyjemnego ją spotkało; jakież piętno fizycznego cierpienia nosiła na sobie ta złamana, ukochana postać, którą ona we wspomnieniach swoich widziała zawsze taką piękną i świeżą.

Wtem jak piorun uderzyło w nią pytanie:

— Zosiu, czy Oleś był na obiedzie dzisiaj?

Orzelińska stała teraz przy córce wyprostowana, w trwożnym oczekiwaniu.

Dziewczyna pobałdła i spuściła głowę.

— Czemu nie odpowiadasz?

— Nie był, mamol! — wyjąkała wreszcie.

Zamilkły obie.

W sąsiedniej kuchence Wacio z Irenką przepowiadali głośno lekeye, zegar wiszący na ścianie powtarzał swoje monotonne *tik tak*, deszcz dzwonił w szyby.

Orzelińska powlokła się ku oknu. Niewinne na pozór słowa huczały jej w uszach jak głuchy łoskot rzucającego się ze skały wodospadu.

— Więc nie był? Wziął z rana pensję i nie przyszedł do domu i nie przyjdzie, dopóki jej nie straci.

Gdzież on przebywa, co robi?

Odurzona myślami temi oparła czoło o chłodną szybę.

Czuła dotkliwe klucie nad oczami, w mózgu ból jakiś nieujęty a przykry. Tak jak gdyby wewnątrz tam, drobne, kolące odłamki szkła rozprysnęły się i ona przepelnioną ma niemi głowę całą. Osłabiony organizm poddawał się biernie nerwom, które też rozigrawszy się na dobre doprowadziły ją do dziwnego stanu pół świadomości pół martwoty, kiedy to człowiek przechodzi w tę fazę, że prócz ciszy, chociażby to była cisza grobu, nie już nie pożąda więcej.

O! bo też los ciężko ją doświadcza! Ona tyle nadziei budowała na przyszłości tego pierwotnego syna a tymczasem...

Oleś od pewnego czasu sprawiał matce wiele zgryzoty. Już to było dla niej okropne, że gimnazjum nie skończył. Wprawdzie nie miała funduszu by za niego dalej płacić, ale w piątej klasie będąc, chłopak powinien był sam dać sobie radę.

— Gdybyś miał energię, gdybyś chciał pracować, mógłbyś nie żądając już pomocy ode mnie, skończyć klasy i uzyskać patent — powtarzała wielokrotnie, głęboki żal żywiąc do syna.

Oleś wykręcał się jak mógł.

Niby to wciąż o korepetycje się starał, ale zawsze tak się jakoś złożyło, że dostawali inni, a on osiadał na koszu.

Skarżył się potem przed matką, zaklinał, że to już los taki, że on nic nie winien, a czas biegł i oto

gdy zeszłego roku po skończonych wakacjach młódz szkolna biegła do szkół ohocho, Oleś za kilkadziesiąt kopiejek sprzedawał handlarzowi mundur swój gimnazysty bez żalu i bez wiedzy matki w dodatku.

I oto zamknął za sobą pierwszy rozdział młodego życia, by rozpocząć drugi od kupienia laski i cylindra i zbijania bruku w nadziei wynalezienia jakiegoś produkcyjnego zajęcia.

Po długich poszukiwaniach zawiesił się wreszcie w pewnym domu handlowym, gdzie piękna powierzchowność i nazwisko, zjednały mu względy pryncypała. Niestety, zajęcie miało nie wiele; wynagrodzenie stosunkowo wcale nie złe. Z 25 rubli miesięcznej płacy przynosił najprzód matce połowę, potem trzecią część, w końcu dnia tego, w którym pensję odbierał, nie pokazywał się w domu wcale, tak jak dziś miało to miejsce.

Zosia przeleżała się o matkę.

Hardemu, dziwnie niepodległemu charakterowi dziewczęcia brakowało wprawdzie kobiecej słodyczy i cierpliwości, niemniej jednak panowało w jej sercu wszechwładnie uczucie pewne, twarde jak granit i jak on niezłomne — miłość dla matki. Miłość taka jaką uczuwa naprzykład jaskółka, gdy wracając do gniazda łupem obciążona postrzega kilkoro piskląt małych z otwartymi dziobkami czekających na pożywienie.

Ona odczuwa tę ich niemoc, wie, że gdyby nie jej opieka zginełyby marnie bezradne, że musi być dla nich tą podporą, bez której istniećby nie mogły.

Zosia w siedemnastej wiosnie życia pojmuje doskonale czemu matka bywa zawsze tak głęboko smutna, czemu niepowodzenia, klęska po klęsce spadają na ich głowy. Zbyt późno niestety, przekonała się, że jest *człowiekiem*, że powinna posiadać odpowiedni zapas siły moralnej i umiejętności życia w tym samym stosunku w jakim posiada je mężczyzna.

Bo oto nieszczęście uczyniło ich sierotami i ona, oprócz praw matki i opiekunki, powinna była również wziąć na siebie prawa ojca i opiekuna. Cały świat obowiązków i trudów ciężkich otworzył się przed nią i zastał ją nieprzygotowaną, w głuchej, rozpaczliwej bezsilności rwącą się co chwila naprzód i co chwila upadającą.

W umyśle zarysowywa się istotnie ta ciężka krzywda, jaką wyrządza kobiecie nierozsądne, niepraktyczne wychowanie, skąpy rozwój umysłowy i to przeświadczenie, że będąc o tyle niższą od mężczyzny ku wyższemu, poważnemu celom życia wznieść się nie potrafi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Książki dla młodzieży.

Wakacje to ważna chwila w życiu rodzin. Dzieci wracają pod dach rodzicielski, cieszą się, że je otacza słodka atmosfera miłości i wspomnienie tych chwil rozkosznych idzie z niemi w życie jak skarb drogoty. Jest też to obowiązkiem rodziców, matek zwłaszcza, aby wakacje zostały zużytkowane odpowiednio — aby istota młoda otrzymała tu pomoc w rozbudzeniu sobie w sercu uczucie szlachetnych. Książka odpowiednio dobra ma tu wpływ wielki, bo z jednej strony zdobywamy sobie pewne wiadomości o świecie, który nas otacza, o ludziach, którzy są towarzyszymi naszymi w życiu i wyobraźnia przejmując się z drugiej strony obrazami tego życia, którego koleje ukazują nam postacie te idealne i przez które zaznajamiamy się z dolą i niedolą człowieka na ziemi. Jest też to niemałego znaczenia zasługa być pisarzem, który pióro swoje poświęca literaturze dla młodego wieku i można śmiało nazwać każdego z nich pomocnikiem wychowania młodzieży.

W bieżącym roku młodzież czytać lubiąca, zadowolona być może, bo ze względu na czytanie wakacyjne wyszło nakładem księgarni A. M. Wizebka pięć dobrych książek, które dziatwa młoda z zajęciem i korzyścią czytać może. Znana i uzna-

na już pisarka dla młodzieży, Teresa Jadwiga, skreśliła z angielskiego na nasz język przełożone trzy powiastki, zawarte w tomie jednym: „Miłosierdzie“, przedstawia dziecko matki ubogiej, chłopca słabowitego, nad którym znęcał się niepocześnie jego rówieśnik, ułecznik rozpróżniaczony, do którego serca nie miało przystępu żadne uczucie tkliwe, lecz nieszczęście które na niego spadło: choroba przebyta w szpitalu, gdzie siostry miłosierdzia i dobrego serca panienka, otoczyły go troskliwym staraniem, wzruszyły twardą tę i dziką naturę.

Zrozumiał co jest miłość bliźniego, co jest pomoc podana tym, którzy cierpią i szlachetniejsze strony jego natury wzięły górę nad złem; powiastka kończy się wdzięcznie szczęśliwym rozbudzeniem się w sercu jego uczuć dobrych, które tam na dnie drzemały. Bywa tak nieraz i w życiu, powiastka ma tę wielką zaletę, że może przemówić do młodych czytelników i wydostać z głębi ich istoty uczucia szlachetniejsze.

„Na letnim mieszkaniu, rozrywki i zajęcia dzieci na wsi“ to książka bardzo zajmująca i pożyteczna szczególnie dla dziatwy wiejskiej. Opisy życia i prac podejmowanych przez lud wiejski, otwierają przed młodem czytelnikami rozmaite okazy tej pracy, która daje ludzkości ów chleb powszedni, o który modlimy się co dzień w pacierzu, a obok tego kreślone obrazy natury, jej uroków, mają swój wpływ wielce dodatni. Najdoskonalszym, najwznioślejszym wśród świata ziemskiego jest piękno przyrody, jak to wykazuje autor; człowieka przenika mimowoli uczucie uwielbienia dla Stwórcy a tysiące niezbadanych tajemnic, z którymi się tu jakoby bliżej zapoznaje, oddziaływają na niego wspaniałe poważnym urokiem, jak o tem wyraził się poeta:

Tak jasno, zielono a wieczór tak cichy,
Na gniazdko ptak leci, kwiat stula kielichy
I perłą się rosy świecące,
Tam wiejskie pachole pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam pieje przepiórka,
Tam skrzypią chrościele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną
I szemrze mącona rzeczulka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną
I ozwał się dzwonek z kościołka
Anioł Pański!...

A dzwonek—skowronek lubuje w swym głosie
To skacze po górach, to ślizga po rosie,
Powodzą się tonów rozlewa.
I oto woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,
Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny
To wszystko się modli i śpiewa,
A dusza ku górze na skrzydłach ucieka
I pełnią żywota pierś rośnie;
Wznioślejsze nad wszystkie modlitwy człowieka
Więc dalej do chóru najgłośniej...

„O ziemi, słońcu i gwiazdach, czyli o budowie świata, jego początku i końcu“ to wykład popularny zasad kosmografii i kosmogonii dla samouków, jak autor, M. Heilpern, w tytule objaśnia. Książkę zdobiją dwa portrety, Kopernika i Newtona a jest ona nabytkiem bardzo dobrym dla ludzi, którzy sobie zdobywają naukę siłami własnymi. „Czem jest ziemia, na której mieszkamy“, to zagadnienie pierwsze; ostatni rozdział wykazując jej przeszłość, stawia hipotezy przyszłości.

„Cyrkiel i ekierka, początkowe wiadomości z geometrii“ napisana przez Zbigniewa Kamińskiego, który we wstępie objaśnia, jak utrudniona jest nauka geografii dla tych, którzy nie zdobyli sobie zasadniczych pojęć z geometrii. Dwadzieścia sześć figur mieści się w tekście, a układ jest dostępny dla dzieci od ósmego do dziesiątego roku. Książeczka też to jest nie duża, przecież autor wykazuje jej znaczne korzyści, bo pewna biegłość w rysunku nie pozostaje bez wpływu i na ukształcenie estetyczne, na wyrobienie smaku.

„Dla myślącej dziatwy zagadki i szarady“ skreśliła Bogusława, oddając je rymem gładkim i potoczystym. Rozwiązanie mieści się na końcu książeczki a szczególnie na wieczory zimowe zabawka to dobra, bo dzieci uczą się zastanawiać, więc myśleć, skupiać uwagę.

M. I.

RUCH MUZYCZNY.

Teatr Wielki zamknął na lato swe podwoje; echa śpiewu artystów zagranicznych ucichły, orkiestra operowa zawiesiła instrumenty na kołkach, — słowem zapanował w świecie wokalnem spokój najzupełniejszy. Z wnętrza murów muzyka przeniosła się na letnie mieszkanie do ogrodów i ogródków, aby tam łączyć się z szmerami natury i szelestem liści w jeden harmonijny akord. I trzeba przyznać, iż tam z tego zestrojenia się powstaje melodia pod każdym względem miła, świeża i pełna poezji.

Ostatniemi słowem przedwakacyjnego okresu muzycznego był popis uczniów i uczennic konserwatorium w sali ratuszowej. Uroczystość ta jest jedną z najpopularniejszych w Warszawie, świat muzyczny chętnie w niej bierze udział, interesuje się bowiem świeżymi siłami artystycznymi, kończącymi studia i rozpoczynającymi samodzielne istnienie.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu, instytut muzyczny w Warszawie wydał cały zastęp utalentowanych pracowników i artystów, którzy w dalszym za wodzie urzędywistni pokładane w nich nadzieje.

Niewątpliwie i z tych, co w r. b. ukończyli studia wypłynie pożytek dla sztuki. Chociaż wespół wychowawców najnowszych nadzwyczajnego talentu stwierdzić nie było można, wszelako widoczne usiłowania i staranność pracy dobrze wróżą o przyszłości świeżej generacji muzycznej.

Chór instytutu wykonał dwie części „Jesieni“ z *Czterech pór* Haydna. Towarzyszyła chórowi, który prowadzi prof. Stattler, wybornie kształcona przez dyr. Noskowskiego orkiestra.

Całość wykonania zasłużyła na zupełną pochwałę. Z klasy prof. Cinka wyszedł młody wiolonczelista, p. K. Skarzyński, artysta dość utalentowany i nieźle władający swym instrumentem. Nie jest to siła nader wybitna, ale wykonawca wcale muzyczny, obdarzony dobrym słuchem i poczuciem; posiada też wcale ładnie wyrobioną technikę. Przymioty te sprawiły, żeśmy słuchali gry młodego artysty z zadowoleniem.

Klasy wyższe gry fortepianowej prowadzili dotąd dwaj profesorowie: Strobl i Michałowski. Nazwisko p. Strobla dobrze jest znane wszystkim, w ciągu bowiem lat trzydziestu swej pedagogicznej działalności w instytucie, znakomite kierownictwo nauczycielskie tego profesora zdobyło sobie rozgłos ogólny.

Obecnie, prof. Strobl opuszcza konserwatorium; będzie więc istniała tylko jedna wyższa klasa fortepianu pod przewodnictwem prof. Michałowskiego. Ten wielki artysta posiada również niemałe zdolności pedagogiczne i umie wybornie wpływać na uczniów, którzy się pod kierunkiem takiego mistrza, rozwijają nader pomyślnie.

Na popisie grała p. L. Kowalska i w interpretacji pierwszej części koncertu Paderewskiego wykazała duże zalety szkoły prof. Michałowskiego oraz znaczny stopień artystycznego wyrobienia. Dodatkowo także zaprezentowała się p. W. Olszewska, uczennica prof. Strobla, dobrze interpretując „Preludium“ i „Fugę“ Bacha.

Nowo utworzona klasa śpiewu solowego prof. Nouvelli'ego nie stanęła w r. b. do apelu, — znać, prof. Nouvelli nie chciał zdawać sprawy z owej pracy krótkotrwałej i wolał rezultaty studyów prowadzonych ukazać w roku przyszłym, kiedy rzeczywiście będzie się miał czem pochwalić. Miał najzupełniejszą słusność.

Czynne tedy były tylko klasy nauczycielek: p. p. Sołowiewicz i Wilgoeckiej.

Uczennica p. Sołowiewiczowej, panna Roszkowska niezbyt fortunnie się przedstawiła; młoda adeptka sztuki musi się jeszcze kształcić i wokalnie dużo pracować pod dobrym kierunkiem, zanim zdobędzie umiejętność układania prawidłowego głosem. Panna Wilgocka wykazała dobrze rozwiniętą technikę, precyzję i smak; przytem wymowa jej jest czysta i dobitna, co wrażenie śpiewu oczywiście podnosi. Wykonała arję ogrodową z „Wesela Figara“ Mozarta i „Se tu m'ami“.

Prof. Barcewicz, mistrz tonu, przedstawił nam swego ucznia, p. H. Fitelberga, który odegrał z powodzeniem dwie ostatnie części koncertu Brucha. Będzie z p. Fitelberga dobry skrzypek, musi jednak jeszcze pracować nad uduchowieniem swej interpretacji.

Należy w dalszym ciągu zaznaczyć, iż najlepiej wypadł popis klas instrumentów dętych.

Klasę trąbki, którą prowadzi prof. Ziegler, zaprezentował p. A. Heilpern, wyborny kornecista. Zacięcie i polot znać było w wykonanej przezeń fantazy Otterera.

P. Doński z klasy prof. Gosławskiego uwydatnił również niemałe zdolności i znaczne wyrobienie techniczne na puzonie. Z klasy fagotu prof. Bernharda wyróżnił się p. Lewkow.

Wreszcie wystąpiła na popisie klasa kompozycji, prowadzona przez prof. Noskowskiego. Znakomity kierownik tej klasy, który się może pochwalić takimi wychowawcami, jak Meleer Joteyko, nie miał w tym roku wybitnie uzdolnionego ucznia; lecz pomimo to, p. M. Piotrowski, autor wykonanych na popisie waryacji orkiestrowych, wykazał sumienną pracę, staranność i wszelkie cechy doskonałej szkoły.

Na pochwałę dyrekcyi teatrzyku Belle-Vue zapisać na tem miejscu wypada wystawienie przesłanej opery Stanisława Moniuszki, p. t. „Flis.“ Jednoaktowa ta opera, śpiewana przed kilkunastu laty z wielkim powodzeniem w teatrze Wielkim, nie straciła na dłuższym żywocie; owszem, świeżość melodii, która płynie tu swobodnie i rozlewa się szeroko, chwytła za serce i przemawia do nas głęboko i szczerze. Opera to piękna i wcale do wykonania nie łatwa, tem większa tedy zasługa teatrzyku Belle-vue, że tak dobrze i artystycznie pod każdym względem znakomite dzieło Moniuszki wystawił.

Najpierw pochwałę oddać należy orkiestrze, skompletowanej całkowicie i posiadającej wszystkie instrumenty. Orkiestra ta gra świetnie, a kieruje nią bardzo widocznie utalentowany dyrektor p. A. Hołodeńko. Z orkiestrą zlewa się czysto i harmonijnie chór, dobrany starannie i dość silny do wywołania odpowiedniej ekspresji.

Soliści spisali się doskonale. Partję Zosi odśpiewała p. Jarszewska, rolę Franka wykonał p. Jamiński. Oboje wywarli jak najdodatniejsze wrażenie i zdobyli sobie wraz z innymi artystami oklaski słuchaczy, kilkakrotnie w ciągu opery się powtarzające.

W połowie b. m. w Dolinie Szwajcarskiej, zgromadziły się tłumy publiczności na „wieczór letni“, dobroczynny. Urządzono wtedy bardzo zajmujący koncert ze współudziałem wybitnych artystów. Najpierw grała świetna orkiestra wiedeńska p. Ertla, który w sezonie bieżącym odznaczył się, jako kapelmistrz bardzo dobry, a dzielnie przewodniczący drużynie.

Z solistów wystąpiła na estradzie znakomita artystka p. Józefa Szlerygierówna, mistrzyni śpiewu. Przyjęto ją, jak zawsze, hucznymi oklaskami; ale bo też nie posiadamy drugiej takiej śpiewaczki, która by tak pięknie interpretowała pieśni i w ogóle tak przedziwnie potrafiła uwydatnić zalety wykonywanego utworu. P. Szlerygierówna odśpiewała z werwą i maestryą walcę Tadeusza Hanickiego, p. t. „Gdyby śnić.“ Utwór ten, wydany przez „Echo muzyczne“ należy do lekkich, a nader ładnych kompozycji; autor zaznaczył tu swobodę myśli, dużo uczucia i opracował drobnostkę umiejętnie.

Oprócz p. Szlerygierówny wystąpił na estradzie p. Ignacy Hanicki, wiolonczelista amator, zdobywając aplaus.

Do śpiewu i do wiolonczelli akompaniował prof. L. Urstein, który solistom towarzyszy na fortepianie, jak nikt drugi; słusznie też znakomitego akompaniatora—artystę wyrwywają sobie wykonawcy wzajemnie.

Świetny pomysł powziął zarząd towarzystwa muzycznego, kiedy postanowił w d. 18 p. m. urządzać koncert w ogrodzie Bagateli, złożony z dzieł oryginalnych kompozytorów, którzy sami dyrygowali orkiestrą p. Maydera.

Dochód z koncertu przeznaczono na budowę własnego gmachu towarzystwa.

Siedmiu dyrektorów stanęło po kolei przy pulpicie, kierując wykonaniem swoich prac.

Zygmunt Noskowski zastępował (co mu się z wieku i urzędu należało) nieżyjących i nieobecnych

kompozytorów. Koncert wypadł znakomicie. W naturze panowała taka cisza, iż ani jeden nie poruszał się listek, księżyc rzucał ciche promienie na uroczą miejscowość; tysięczny tłum spoczywał na krzesełach, zasłuchany w harmonijnie rozlegające się w przestrzeni tony.

Oprócz Noskowskiego, który między innymi wykonał mistrzowskie swe dzieło: „Morskie Oko“, popisywali się inni muzycy — twórcy: p. Grosman, autor „Ducha wojewody“, pełen właściwego i przyrodzonego sobie temperamentu Münchheimer, Maszyński, Hertz i Rzepko. Dyrygował też swoją symfonią p. Tadeusz Joteyko, o którym wspominałem już powyżej.

Jestto młody kompozytor, który wróży przyszłość niepospolitą. Świeżość melodyi, poezya, liryzm, siła i znajomość gruntowna techniki kompozytorskiej, rekomendują autora „Symfonii“ w sposób wysoce znamienity. Należy się po p. Joteyce spodziewać bardzo wiele.

Ostatni koncert, jaki miał miejsce w przedostatni poniedziałek w Dolinie Szwajcarskiej, nosił na sobie cechę wyjątkową. Zagrał nam Henryk Melcer, obecnie profesor konserwatorium we Lwowie, i wzbudził entuzjazm wśród publiczności. Grał swój koncert konkursowy z towarzyszeniem orkiestry p. Ertla. Rozbieraliśmy przed kilku miesiącami to dzieło prawdziwego natchnienia, idei głębszej i formy wysoce artystycznej; nie będziemy więc dłużej charakteryzowali go tutaj, powiemy tylko, że przepyszny utwór H. Melcera sprawia wrażenie czegoś żywiołowo potężnego, a pełnego zarazem poezji. *Ad astra*, młody mistrzu!

A. Dobrowolski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(*Quo vadis*, najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza.)

Po wspaniałej trylogii dał nam znakomity powieściopisarz nową powieść historyczną, tym razem osnutą na tle Rzymu starożytnego, a to z tych czasów, gdy wedle wyrażenia poety „bogi i ludzie szaleli.“ Czasy te, będące świtem chrześcijaństwa, wykłuwającym się z ogólnego mroku zbydlenia i oświecającym puste, jałowe piersi człowieka, nęciły już niejednego pisarza, dostarczając mu bardzo obfitej treści do utworów bądź powieściowych, bądź dramatycznych. Ponad całą ich masę wzbija się niewątpliwie obecny trzytomowy utwór Sienkiewicza *Quo vadis*, osnuty na czasach Nerona, którego dzisiejsza psychiatria, uważa za jeden z rzadkich niezmiernie okazałych wyrodnień duchowego, wyjątkowego obłąkania.

Młody Marcus Viniciusz, żołnierz z legii asyatyckich, walczących przeciw partom, przybył do Rzymu, gdzie zapalał silną, a namiętną miłością ku Lygii, córce zwycięzonego przed laty króla lygów i zakładniczce, wychowującej się w domu znanego rzymsianina Aulusa Plautiusza, którego żona Pomponia Graecina, gorliwa wyznawczyni nauki Chrystusa, potrafiła w swą wychowanicę wszczepić idee chrześcijańskie. Lygia również pokochała młodego trybuna wojskowego, ale będąc kobietą wolną i nade wszystko chrześcianką, pragnie przekroczyć próg jego domu jako żona nie, zaś jako kochanka. Viniciusz tedy, widząc trudność w posiadaniu ukochanej, za poradą i pośrednictwem wuja swego Petroniusza, postarał się o rozkaz cesarski odebrania Lygii z domu Aulusów i osadzenia jej chwilowo w pałacach cezara, skąd następnie łatwo już mógł wziąć ją do siebie. Atoli plan ten nie powiódł się ostatecznie, bowiem wierny sługa Lygii olbrzymiej siły lyg Ursus odbił ją niewolnikom Viniciusza, prowadzącym dziewczynę do domu swego pana, i ukrył wśród chrześcian, który przeważnie mieszkali wówczas na Zatybrzu. Zawiedziony i upokorzony poniekąd trybun ima się wszelkich możliwych środków, by odszukać Lygię, a gdy nakoniec po długich usiłowaniach, przy pomocy chytrych greków Chilonów odnajduje domek, w którym ona znalazła schronienie, zamierza porwać ją powtórnie; ale znów zamiar ten

spełził na niczem, gdyż Ursus, wciąż czuwający nad swą panią, i tym razem staje mu na przeszkodzie. Raniony Viniciusz, przebywając przez pewien czas pod opieką Lygii w jej otoczeniu chrześcijańskim, stopniowo ulega wpływom nowej nauki i, przejawiając się nią do głębi, wkońcu otrzymuje chrzest z rąk apostoła Piotra. Atoli stało się to w tym już czasie, gdy Rzym spłonął podpalony, jak twierdzą dziejopisowie, z rozkazu Nerona, który obwiniając o to chrześcian, rozpoczął ich prześladowanie. Lygia wra z wielu innymi współwyznawcami była wtrącona do więzienia, skąd nie mogły jej wydobyć wszelkie starania zrozbitego Viniciusza, który, widząc nieuniknioną śmierć męczeńską ukochanej, żył wkońcu tylko nadzieją cudu. Jakoż Lygia istotnie cudem niemal została ocaloną: na arenie cyrkowej przywiązana do rogów tura germańskiego ratuje i teraz olbrzym Ursus od śmierci, jak już dwukrotnie uratował od hańby, a gdy cesarz pod naciskiem tłumów obdarował ją wolnością, jako żona Viniciusza pędzi odtąd z mężem spokojne życie na Sycylii.

Taką jest główna osnowa utworu, z którą się łączy ściśle mnóstwo przepysznych epizodów przeważnie z charakterem czysto opisowym, a składających się razem na artystyczne wytworzenie całości; do wybitniejszych z nich należy zaliczyć takie, jak np. uczta u Nerona, nauczanie tłumów przez s-go Piotra w Ostrianum, orgie na stawach Agryppy, wyjazd i pobyt cezara w Antium, pożar Rzymu, igrzyska cyrkowe i męczeństwo chrześcian, wreszcie śmierć apostołów i ostatnia biesiada u Petroniusza. Nim atoli przypatrzymy się bliżej artystycznej stronie tych epizodów i ich znaczeniu w ogólnej charakterystyce tła epoki, wpierw rzucmy okiem na wybitniejsze postacie, występujące w *Quo vadis*, a będące, jak zwykle u Sienkiewicza, uosobieniem najrozmaitszych objawów psychicznych człowieka. Do pierwszorzędnych osób w powieści należy Petroniusz, Viniciusz i Lygia, jako główni bohaterowie opowiadania, a obok tego Neron i grek Chilon, jako przepysznie skreślony okaz psychologiczny.

Petroniusz — to najcharakterystyczniejszy i bardzo starannie przez autora wykonany typ dodatni lepszej części ówczesnego zepsutego społeczeństwa Rzymu. Niegdyś był on rządcą Bithynii i na tem stanowisku odznaczał się energią, sprężystością i sprawiedliwością; teraz, wróciwszy do Rzymu, stał się wykwinnym sybarytą, który dla wygodnego życia bez trosk i jakiegokolwiek pracy gotów poświęcić bardzo wiele, aczkolwiek zbyt przywiązany do niego nie jest bynajmniej; rozstać się z nim potrafiłby w każdej chwili bez żadnej przykrości nawet. Jest on sceptykiem, który wątpiąc o wszystkim, mocno wierzy jedynie tylko w słuszość zasad Anakreonta, upatrując istotną rozkosz życia w spokojnych słodkich chwilach u boku pięknej kobiety, bez której nie miałoby ono żadnej dla niego wartości; prócz tego jest on z natury obdarzony poczuciem i zamiłowaniem piękną, sam nawet pisuje czasem wiersze, a dla cezara jest nieodzownie potrzebnym dlatego przedewszystkiem, że on jeden tylko potrafi wykaazać istotną piękność w utworach Nerona i najrzadziej zapalić na cześć jego kadzidło.

Petroniusz może się dopuścić czynu barbarzyńskiego (oczywiście w oczach dzisiejszego człowieka), ale uczyni to zawsze tak, by nie narazić na szwank zmysłu estetycznego i nie naruszyć form przyzwyczajenia. Każąc dać różgi niewolnicy, miłującej go skrytą bezgraniczną miłością, rozkazuje przytem bić tak, by nie popsuć skóry. Chcąc się pozbyć pijanego gladyatora, który mu zastąpił drogę, domagając się brutalnie, by wraz z nim krzyczał. „Chrześcianie dla lwów,“ zniecierpliwiony przebija go najspokojniej mieczem, powiadając: „Przyjacielu, cuchnie ci winem i zawadzasz mi,“ poczem idzie dalej, prowadząc ze swym współtowarzyszem przerwana rozmowę. Wykwinny znawca form towarzyskich, esteta wrażliwy niezmiernie na wszystko, co nosi na sobie ślady piękna, człowiek wykształcony i umiejący prowadzić dowcipną rozmowę w towarzystwie, Petroniusz słusznie u współczesnych zyskał nazwę: „arbiter elegantiae,“ przez historyka rzymskiego przekazaną potomności. Posiadając miłość wśród motłochu rzymskiego, którym atoli brzydził się nieskończenie, że cuchnie cebulą, winem i zbyt hałasuje bez żadnego względu na przyzwoitość, ciesząc się obok tego wielkimi względa-

mi Nerona, mógłby być zająć pierwszorzędne stanowisko w Rzymie i bardzo łatwo zostać wodzem pretorianów, ale „arbiter elegantiae“ zbyt ceniał wygodne, spokojne życie, zbyt był leniwy, by wyciągnąć rękę po władzę. Swoją drogą pomimo wszystko jest on człowiekiem uczciwym i poezym, umiejącym nawet do pewnych granic i z siebie samego czynić ofiarę, gdy idzie o tych, których kocha. Tak właśnie, kochając siostrzeńca swego Viniciusza, nie szczędzi trudów i zabiegów, by zadośćuczynić pragnieniom jego serca i nawet z narażeniem siebie usiłuje ocalić Lygię, wstawiając się za nią do cezara. Wprawdzie pochlebia on i nawet nierównie zręczniejszy niż inni Neronowi, unosząc się nad jego poezjami i muzyką, ale pod tym względem, jak zresztą i pod wielu innymi, należy go sądzić nie według dzisiejszych pojęć moralności, ale ówczesnych. W każdym razie Petroniusz o tyle przewyższał cały tłum pochlebców cezara, że gdy oni z pokorą przyjmowali nawet wyroki śmierci sobie przysyłane i konając jeszcze lizali stopy „boskiego,“ on tymczasem, uprzedzając rozkaz, by się pozbawił życia, otwiera sobie żyły, napisawszy przedtem szyderski list do Nerona, w którym zadaje mu z przyjemnością najstraszliwy cios, odmawiając imperatorowi wszelkich zdolności poetyckich i ośmieszając go jako artystę. Zauważyć tu należy, iż Tacyt powiada, że Petroniusz, otworzywszy sobie żyły w oczekiwaniu zbliżającej się śmierci, dyktuje list do cezara; zgodne z historią przedstawienie tego faktu w powieści byłoby, o ile się zdaje, znacznie efektowniejszem.

Zupełnie odmienną jest postać głównego bohatera powieści trybuna wojskowego Marka Viniciusza; nie jest to typ, jak np. Petroniusz, a tylko charakter, na który wszakże autor zwrócił wszystką swą uwagę, by wycieniować go z właściwą sobie subtelnością. Viniciusz, poznawszy w domu Aulusów Lygię, kocha ją taką miłością, na jaką ówczesny rzymsianin o wyobrażeniach pogańskich mógł się zdobyć, t. j. miłością, w której namiętność odgrywała główną rolę. Dla zaspokojenia żądzy posiadania dziewczyny porywa ją bez względu na to, czy zechce ona być jego żoną, czy też zmuszoną będzie pozostać w roli nałożnicy; dla dopięcia swego celu nie waha się ani na chwilę pod żadnym środkiem gwałtownym, do którego popycha go z jednej strony namiętność, z drugiej duma trybuna wojskowego. Takim właśnie człowiekiem namiętnym i gwałtownym, w chwili szału mordującym niewolnika niewinnego, widzimy Viniciusza na początku opowiadania; atoli od tej pory, gdy poraz pierwszy zetknął się on z nową nauką chrześcijańską, wysłuchawszy przemowy s-go Piotra w Ostrianum, spostrzegamy powoli zachodzące zmiany w duchu jego; zaś chwilą przełomową dla naszego bohatera był krótki pobyt w domu chrześcianki Miryamy, gdzie złożony chorobą pozostawał pod opieką Lygii; tu bowiem ze zdumieniem ujrzał wielanie w czyn głoszonych idei chrześcijaństwa, idei, zasad, które, jak sądził dotychczas, nie wspólnego nie mają z praktyką, z rzeczywistością. Czyny tedy bezpośrednio oddziaływały na wyobraźnię młodego trybuna i odtąd budzi się w nim cześć bezwiedna dla tych całkiem odmiennych otaczających go ludzi. Idea bezwzględnej miłości jest mu jeszcze i teraz nie zrozumiała wprawdzie; Viniciusz raczej odczuwa ją, nie zaś pojmuje, ale pod wpływem nauk apostołów Piotra i Pawła coraz bardziej lgnie do chrześcijaństwa, coraz bardziej przed nim się korzy. Autor dla zobrazowania tej powolnej stopniowej przemiany w duszy swego bohatera nie zaniedbał użyć żadnych motywów, które ją spowodowały lub wpływały na jej kierunek; każdy krok naprzód, każdy objaw wahania się, walki wewnętrznej Viniciusza umotywowany jest należycie i uwidatniony w powieści z wielką subtelnością i plastyką; w ostatnim zaś akcie tej walki otrzymuje czytelnik najsilniejsze wrażenie z powodu wywołania przez autora najpotężniejszego może w całej akcji czynnika, zapewniającego ostateczne zwycięstwo, a mianowicie uczucia boleści. Viniciusz, wyczerpawszy wszystkie środki ocalenia Lygii, zamkniętej w więzieniu, jedyny ratunek widzi w Chrystusie i przywiązuje się do niego całą siłą duszy zbolelej, z bezwzględną nadzieją oczekując od niego cudu i z bezwzględną wiarą pod wpływem boleści w cud ten wierząc. Jest to właśnie chwila, wyzyskana przez autora z wielką

znajomością psychologii człowieka, chwila, czyniąca potężny efekt, wreszcie bardzo ważna w przebiegu wewnętrznej walki bohatera, bowiem tu dopiero widzimy, ostateczny kres jej, gdy z dawnego poga-nina, dumnego trybuna nie już nie zostało w naszym bohaterze;—bezwzględna wiara, miłość i stanowcza przewaga ducha nad ciałem—oto najcharakterystyczniejsze jego cechy od tej pory. Zważając na dokładne wyczerpanie i pogłębienie motywów psychicznych, działających w duszy bohatera, na wielką konsekwencję, z jaką wszystkie w nim zmiany duchowe zostały przeprowadzone, wreszcie na właściwą talentowi autora plastykę i żywość w malowaniu tych zmian—musimy postać Winiciusza jako charakter zaliczyć do szeregu najlepiej skreślonych figur Sienkiewiczowskich.

(Dokończenie nastąpi).

DOPEŁNIENIE SPRAWOZDAŃ z Wystawy Hygienicznej.

Chociaż zakończyliśmy w przeszłym numerze „Bluszezu” sprawozdanie z działu wychowawczego, to przecież musimy słów parę uzupełniających jeszcze dorzucić. Dodajemy przede wszystkim, że całość z okazami wystawowymi stanowi kilkanaście prac teoretycznych z działu higieny i pedagogii, pomieszczonych w wystawowym numerze „Zdrowia,” przygotowanych przez członków sekcji wychowawczej. Dodajemy następnie, że wiele materiału pedagogicznego znajduje się w dziale ludowym (chaty i ubiory ludu) a także w statystycznym (mapy poglądowe); że w pawilonie głównym pomieszczono wystawę warsztatów nauk rzemiosł Warsz. Gminy Starozakonnych, gdzie godzien jest uwagi konik warsztatowy do roboty szewskiej, ułatwiający pracę bez nachylania się i odbijania kolan, jak to ma miejsce przy robocie na typowym, niskim, trój-nóżnym stołku.

W pawilonie wychowawczym pomineliśmy też niektóre rzeczy, co pragniemy choć krótką wzmianką uzupełnić. Bogata wystawa wydawnictw pedagogicznych Arcta, ozdobiona zrzeźbami płaskorzeźbą Jeske'go tudzież wystawy innych księgarzy: Kolińskiego i Skińskiego—a także, wystawa zasłużonej firmy Müllera (zabawki)—godne są osobnego artykułu. Godna zaznaczenia ochrona Gminy Ewangelickiej, w której jak widzimy z fotografii, sale są bardzo obszerne, ławki nowego systemu, a roboty racjonalnie prowadzone; oprócz wyrobów w duchu freblowskim zwracają uwagę: roboty krzyżowe, drutowe, sznurowe a nadewszystko dobre wzory cerowania. Pismo prostopadłe — przedmiot żywych sporów pedagogów — znalazło przedstawicielkę w pannie Unsichtównie. Piękne roboty szkoły p. Korycińskiej, w których się rzemiosło z artystem łączy (wypalanie, mozaika) nagrodzone na różnych wystawach warte są uwagi znawców. Szereg fotografii, przedstawiających różne zbożenia przy nieprawidłowym trzymaniu dziecka lub jego chodzeniu, wystawionych przez D-ra Gruźewskiego, powinny być w widoczniejszym miejscu dla nauki wszystkich wystawionym.

Składając pióro, słówko jeszcze rzec musimy pannie Keller gwoli, która uczyniła nam w sposób poważny zarzut, że... za mało napisaliśmy o pokoju, przez nią urządzonym. Patrzymy na usilną pracę panny Keller, cenimy wielce dobre jej chęci, pókój jej w I-em sprawozdaniu (Nr 21 „Bluszezu”) nazwaliśmy „miłym”—głównie dla obrazka religijnego i wzorowej czystości; pomimo najszerzej chęci nie do tego, cośmy już powiedzieli, dodać nie możemy, chyba by zwrócić uwagę, że mebli i pościeli dostarczyły firmy: Wrotnowskiego, Jarnuszkiewicza i in. Chcąc koniecznie pisać szerzej o pokoju p-y Keller, musielibyśmy wdać się w krytykę, to jednak nie leży w planie naszych artykułów, które, jak łaskawe czytelniczki zauważyły, mają głównie charakter sprawozdawczy.

Władysław Nowicki.

Wędrowka przez Węgry.

Naród węgierski święci, jak wiadomo, w tym roku tysiąclecie swego istnienia. Cały kraj, poczynszy od stolicy, a skończywszy na najmniejszych nawet mieścinach Puszt, dokłada wszelkich starań, by uroczystość, której punkt kulminacyjny stanowi otwarta w dn. 2 maja w Peszcie powszechna wystawa krajowa, wypadła jak najświetniej nie, od rzeczy więc będzie przypatrzeć się bliżej tym różnorodnym szczeptom i ludom, które w znacznej mierze przyczyniły się do rozkwitu państwa Arpada.

Przybyszowi po raz pierwszy goszczącemu na ziemi węgierskiej dziwnie obcem się tu wszystko wydaje. Te obszerne, w dal niezmierną sięgające równiny, w których nie dojrzyś ni drzewa, ani nawet krzaczka, te jakby bezpośrednio z nich wyrastające olbrzymie Tatry i Karpaty, przedstawiają obraz, do którego oko nie odrazu nawyknąć jest w stanie.

Dziwnie brzmi mowa mieszkańców, oryginalnymi wydają się ich obyczaje i kultura.

Madziarowie, aczkolwiek są w mniejszości, uważają się i całkiem słusznie za panów tego kraju. Przywędrowali oni tu z Azji, gdzie między Kaukazem a Uralem szukać należy ich prakolebki. Napierani przez Mongołów, przybyli około r. 1096 — a więc tysiąc lat temu—do Węgier i tu długi czas prowadzili życie rozbójnicze, aż wreszcie nieszcześliwa bitwa na polu Lechowie rozstrzygnęła o ich losie.

Znudził się im żywot koczowniczy i zwolna zaczęli się zaprawiać do rolnictwa i chowu bydła. Prócz nich, stanowiących piątą część całej ludności, zamieszkują kraj ten jeszcze rozmaite narody słowiańskie, Niemcy, Rumuni, Żydzi i Cyganie, a gdzieś indziej rozsiani po całym kraju Ormianie i Grecy. Różnorodne te szczepy, które obejmować zwykliśmy jednym wspólnym mianem „Węgrów” w nienajlepszych ze sobą żyją stosunkach. Potęgą jednego narodu jest solą w oku drugiemu; każdy chciałby rządzić, żaden być rządzonym.

To też kłótniom i niesnaskom niema końca.

Kto Madziara, właściwego pana tego kraju, poznać pragnie w prawdziwym świetle, ten musi go szukać tam, gdzie on żyje dawnem, wiekami przekazanem życiem, gdzie zajęty jest wyłącznie uprawą roli i chowem bydła. A więc nie w wielkich ogniskach cywilizacji, nie w Peszcie, Preszburgu lub Szegedynie, lecz raczej w owej wielkiej kotlinie między Cisą a Dunajem.

Tutaj pierwiastek madziarski przechował się w najczystszej swej formie, podczas gdy w wyżej położonych częściach kraju, a szczególnie w miastach zlały się z nim obce czynniki.

Podróżujący od południa przez Szegedyn ku Pesztowi ma przed sobą „Pusztę,” ową wielką, niezmierną równinę, otoczoną do dziś dnia jeszcze pewną aureolą romantyzmu. Tu na żyznych niwach rodzi się pszenica i żyto, owies, jęczmień, jarzyny, tytoń słowem wszystko to, co i w innych krajach, a prócz tego jeszcze, w wielkiej obfitości kukurydza, ulubiony pokarm ludności wiejskiej. Do tych bardzo urodzajnych pól przytykają bujną trawą porośnięte łąki, z harcującymi po nich stadami wspaniałych stepowych rumaków. Za nimi, w wysokości na górę wzniesionym batem, pędzi „czikos,” największy łobuz puszt, który się nie krępuje żadnymi względami, aby tylko osiągnąć ulubionego rumaka. W równym stopniu posiada on sztukę zdobywania serec niewieścich, z tą tylko różnicą, że skradzione zwykle szybko zwraca.

Na bujnych łąkach pasą się tu liczne trzody białych wołów, o długich rogach i na wysokich nogach. Tuż obok nich ryją ziemię ciemnoszczecinaste świnki. Kozy i owce żyją tu w wzajemnej sąsiedzkiej zgodzie, stada gęsi z krzykiem latają nad nimi.

W tem nagle zmienia się krajobraz. Białe ławice piaszkowe lśnią w świetle słonecznym. Roślinność zmniejsza się, aż wreszcie znika zupełnie. Gdzieś indziej jeszcze oko spocznie na wysoko w górę wystrzelającym żorawiu studni, zresztą ani drzewa, ani nawet krzaczka małego. Okolica zda się jakby była wymarłą. Rzadko kiedy ujrzyś zrywającego się z pod nóg spłoszonego ptaka, a jeszcze rzadziej wzrok twój spotkać się może z ludzką postacią. Można całymi dniami wędrować przez pusztę i nie spotkać się z żadną żyjącą istotą; dokoła cisza grobowa. Podróżnika, choćby niewiem jak walczył ze sobą, ogarnia mimowoli jakaś tęsknota, i ta tęsknota łomaczy nam, jak mogły powstać na tej ziemi owe pełne nieokreślonego smutku pieśni Lenau'a i Petöfi'ego.

W gorących dniach słonecznych widzieć się tu daje na dalekim horyzoncie oryginalne zjawisko atmosferyczne. Zdała położone przedmioty i miejscowości wydają się jakby tuż przed nami się znajdowały; rodzaj fata morgana puszt, którą Węgiel nazywa „delibáb” t. j. wieszczką południa. Lecz i to zjawisko wkrótce znika i podróżny pozostaje znowu sam, z własnymi tylko myślami. I może się nazwać szczęśliwym, jeżeli po całodziennym, utrudzającym marszu dotrze wreszcie do gospody, do tak zwanej „esardy.” W przeciwnym razie musi albo dalej wędrować, albo też przenocować pod gołym niebem. W obu jednak wypadkach wystawiony jest na pewne niebezpieczeństwo: jeżeli wybierze nocleg pod gołym niebem, to nazajutrz niezawodnie przebudzi się z silną febrą, właściwą tej okolicy, a jeżeli odważy się pójść dalej, to przygotować się musi na spotkanie się z psami w rodzaju wilków; pokryte długim, białym włosem, dochodzą one wysokości stołu i odznaczają się wielką zjadliwością. Podróżny, który się z psami temi wdał w nierówną walkę, rzadko kiedy wychodzi obronną ręką. Jeżeli dotarł szczęśliwie do esardy, wtedy jest ocalony. Wygód wielkich tu wprawdzie nie znajdzie. Niska, słomą pokryta chata, z okopconymi ścianami, wewnątrz zbite z desek stoły i ławki, i to wszystko. Ale napój, którego tu dostać można, jest wyborny.

Między krajami uprawiającymi wino, zajmują Węgry drugie miejsce zaraz po Francji. Stanowisko to zawdzięczają one, oprócz tokaju, którego naturalnie więcej wychodzi we wszystkich krajach, aniżeli miejscowość, od której wino to przybrało swoją nazwę, dostarczyć jest w stanie, przede wszystkim licznym wyborowym gatunkom win jak „Ofener,” „Erlauer,” „Oedenburger” i wiele innych. Kto raz pił te wina, temu usprawiedliwioną się wyda дума Madziara, gdy pisze na butelkach: „Nullum vinum nisi hungaricum.”

Tu, w esardzie nadarza się nam najlepsza sposobność przypatrzeć się zbliżka Madziarowi. Średniego wzrostu, baczysty, o silnej budowie ciała, na krótkiej szyi osadzona wielka czaszka, szerokie czoło, bujne włosy, brwi krzaczaste, z pod których spogląda para małych, żywych, nieco skośnych oczu, lekko wystające kości policzkowe, mały, energiczny nos, pod nim bujny, buńczucznie w górę zakręcony wąs, usta nieco za szerokie z dwoma rzędami śnieżnej białości zębów, świeża, nieco brązowa cera—tak oto stoi przed nami, odziany w krótką, grubą koszulę płócienną, szerokie, białe szarawawy, spięte w pasie mięśnista kłamra, w ciemną wysoko zapiętą kamizelkę sukienną, w kapeluszu filcowym z szerokimi brzegami i w butach z cholewami. W czasie chłódów wkłada biały barwnie tkany płaszcz filcowy, a w zimie zarzuca na to jeszcze ciężki kozuch barani. I kiedy tak z krótką fajeczką w ustach wehodzi, to nie brak całej tej postaci pewnej powagi.

Główną cechą charakteru Madziara jest dobroduszość. Grzeczność, usługowość, gotowość do usług to nieodłączne jego przymioty. Z natury otwarty i szczerzy, żywy a nawet ognisty, łatwo ulega wrażeniom zewnętrznym. Najwzyczajniejsza melodia może go, stosownie do usposobienia, doprowadzić do szalonej wesołości, lub też pogrążyć w głęboką zadumę. Zachowanie się jego jest swobodne i pewne i nigdy nie zdradza zakłopotania.

W ruchach jego pomimo całej naturalności i swobody przebija się pewnego rodzaju panowanie nad sobą: nawet w wybuchu namiętności, o który przy wrażliwości jego nie trudno, wie dokładnie co robi.

Gburowatość i pociąg do awantur obce mu są zupełnie. Rys ten nigdzie się lepiej nie uwidatnia, jak w gościnności, z którą przyjmuje obcych. Można w śród nocy zapukać do mieszkania Madziara i można być pewnym, że się dozna najgościnniejszego przyjęcia. Gościnność ta i okazywanie jej sprawia mu widoczną przyjemność; a choć nawet nie wiele może ofiarować, to jednak dobry chleb i dobre wino znajdzie się wszędzie. Posiada on przytem wiele zalet towarzyskich. Mowa jego jest zwiezła, choć może nie zawsze wolna od drastycznych, a niekiedy nawet trywialnych zwrotów. Posiadając wrodzone zamiłowanie do gadulstwa, o niezem tak chętnie nie rozprawia, jak o polityce, choć w dyskusjach tych nie zawsze przebija się potrzebny spokój i jasność. Politykuje przyłada sposobności, w domu, w urzędzie równie dobrze jak i w esardzie przy szklance wina.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na ostatnim posiedzeniu zarządu ochron, odbytem w Towarzystwie Dobroczynności pod przewodnictwem dziekana Jurkiewicza, zamianowano dozorczynią ochron XXVIII p. Józefę Borowską. Dozorczyńiom ochron przyznano zapomogę pieniężną od 10 do 15 rs.

— P. Marya Kleniewska, właścicielka wsi Kluczkowice, przyjęła gościnie na pobyt letni po dzień 1-go września sierotki mieszące się w Przytułku S-go Antoniego, wraz z opiekunką ich p. Heleną Trusiewiczową. Administracja żegluga parowej p. Maurycego Fajansa udzieliła bez opłaty biletów na przejazd do wsi Piotrowina.

— Rada miejska dobroczynności publicznej postanowiła oddać kuchnię szpitala S-go Jana Bożego siostrze miłosierdzia S-go Wincentego a Paulo na zasadzie, że pracownice te Boże będą ją prowadzić troskliwie i uczciwie.

— W d. 19 czerwca grono osób zaproszonych oglądało prace uczennice szkoły rysunków i malarstwa p. Heleny Tokarzewskiej. Wśród wielu rysunków i płócien, dających poznać dobry kierunek szkoły, zaznaczył się rozmiarami i kolorytem obraz Matki Boskiej Bolesnej, przeznaczony do kościoła na Powązkach i obraz S-go Antoniego do kościoła S-go Krzyża. Z zakresu sztuki stosowanej odznaczyły się dwie patery znacznych rozmiarów, przedstawiające sceny ludowe, malowane z natury, oraz gobelin p. Michnikowskiej. Znani artyści pendzla, p. p. Andrychiewicz i Wiśniewski, kierują nauką rysunku i malarstwa, a umiarkowana opłata za naukę czyni studia w tej szkole dostępne i dla osób mniej zamożnych.

— S. p. Ekieltowa zapisała ostatnią wolą swoją hotel Krakowski i dobra Wolmontowice pod Otwockiem na cele dobroczynne. W d. 7 lipca odbędzie się licytacja.

— Magistrat Berlina zezwolił, aby międzynarodowy kongres kobiecej pracy i jej postępów odbył się w głównej sali ratuszowej, a niewątpliwie napełni się szczerą i żarliwą uwagą ze wszystkich niemal krajów Europy jak i Ameryki nadchodzą zapowiedzenia. W obec tego postanowiono, że ponieważ przemówienia i odczyty obcokrajowców wygłaszane będą w ich języku, potrzeba aby po dzień 15 sierpnia przesłane już były w odpisie do biura kongresowego z powodu, aby na język niemiecki zostały przełożone.

— Komitet niewieści Towarzystwa pokoju, związany w Palermo, ma na czele swoim Mariettę Campos; Rozalia Schoenflies przewodniczy takiemuż stowarzyszeniu niemieckiemu.

— Uniwersytety szwajcarskie odznaczają się znaczną liczbą kobiet. Filologiczne seminaryum uniwersytetu w Bern liczy ich często tyle, ile jest słuchaczy regularnych.

— Trzeci z rzędu międzynarodowy kongres niewieści, poświęcony psychologii, zebrany będzie w Monachium w sali uniwersytetu. Na takimże kongresie w Londynie odbyło się czterdzieści odczytów, tu zapowiedziano ich 174 w języku niemieckim, angielskim, włoskim i francuskim. Przemawiających będzie 139, a między niemi jedna kobieta, M-rs Lidgwick, siostra ministra oświecenia lorda Balfour, a siostrzenica lorda Salisbury, pierwszego ministra.

— Miss Eleonora Ormerod, uczona entomologistka, przedstawiła na wystawie rolniczej w St. Albans kolekcję owadów szkodliwych rolnictwu, uniwersytet edynburski przyznał jej za to medal za usługi. Otrzymała również medal taki irlandzka pani, lady Duncan, za założenie i utrzymywanie przez lat dziesięć w dobrach swoich szkoły szycia i kroju, a w której była przez ten czas cała nauczycielką przewodniczącą.

— Lady Brassley zorganizowała towarzystwo przeciw okrucieństwu nad dziećmi, pani ta przyjęła obok tego zarząd nauki białego szycia i inspekcję szkół nauczających tej ważnej gałęzi pracy niewieściej, mającej niemałe znaczenie w gospodarstwie i dobrobycie rodzin. Królowa Wiktoria posłała jej podziękowanie, własną ręką skreślone.

— M-rs French Sheldon, podróżniczka, przybyła do Nowego Yorku, zwiedziwszy obszary pustyń Afryki środkowej, w jakich nie znalazła się dotąd nigdy kobieta. Pani ta zamierza skreślić opis zwiedzonych krain z zamiarem wykazania gdzie mogą być zakładane osady, których klimat i rodzajność gruntu odpowiadały by warunkom osiedlania się tam europejczyków.

— Królowa Portugalii, zachęcając żywo kobiety do studiowania medycyny, ułatwia im możliwość zdobywania sobie tej wiedzy przez liczne stypendya, z jej własnej kasy udzielane.

Z bieżącej chwili.

— Hojną ofiarę uczynił jeden z mieszkańców naszego miasta na rzecz Kościoła S-go Antoniego (po-reformacki), postanawiając wzniesić kosztem swoim wielki ołtarz w nowej kaplicy Najświętszej Rodziny w tym kościele. Według planu, już sporządzonego, kosztorys ołtarza przedstawia około 10,000 rs.

— S. p. profesor Płaskowski zapisał ostatnią wolą swoją 6,000 rs. Warszawskiemu Towarzystwu lekarskiemu, przeznaczając obok tego dla tejże instytucji kilka pożyczek premiiowych.

— W ubiegłą niedzielę odbył się akt zamknięcia pierwszego półroczu sal rysunkowych, oraz akt otwarcia wystawy prac młodzieży rzemieślniczej, uczęszczającej do tych sal. W ciągu ubiegłego półroczu uczęszczało do sal kopiowania: mężczyzn 74, kobiet na rysunek ręczny 74, na techniczny 93, modniarek w niedzielę 114, mężczyzn 10, rzeźbę 6, ogółem 374 osób. Z funduszu p. M. Persohna, członka komitetu rozdano osobom zdolniejszym, uczęszczającym do sal upominki w formie przyborów do rysunku, malowania i rzeźby. Ze

stypendyum ofiarowanego przez członka komitetu p. Stanisława Rotwanda udzielono 300 rs. uczniowi litografii, Rozensteinowi.

— Komitet Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych ogłasza konkurs malarstwa, na który kwalifikują się obrazy olejne, akwarele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu ostatnich lat trzech, nie umieszczone przecież na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie. Za dzieła konkursowe wyższej wartości przeznaczone są trzy nagrody pieniężne: 400, 200 i 100 rs., wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych nie kwalifikują się na konkurs. Deklaracje w formie zwykłej korespondencji pod adresem Komitetu Towarzystwa przysyłać należy przed dniem 3 stycznia 1898 r.; w deklaracji powinna być zamieszczoną treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wiadomością: kiedy i gdzie się rodził, oraz w jakiej szkole kształcił się w sztuce swojej. Szczegółowy regulamin konkursu wysyła na żądanie kancelarya Towarzystwa franco, lub bezpłatnie wydaje w kancelarii Towarzystwa.

— W ubiegłą niedzielę odwiedziło wystawę hygieniczną liczne grono przemysłowców przybyłych z Łodzi dla jej obejrzenia. Obok tego oglądali ją turyści szwedzcy.

— Grono studentów wydziału przyrodniczego uniwersytetu warszawskiego udało się pod przewodnictwem prof. Amalickiego na wycieczkę z celem studyi geologicznych do Częstochowy, Dąbrowy, Ojcowa, Krakowa i Wieliczki. Powracając turyści zatrzymują się na kamiennych wzgórzach kieleckich.

— Wystawa stylowa jest bardzo licznie zwiedzana; treść jej objaśniają dwa katalogi: jeden obejmuje wyłącznie salon główny, drugi poświęcono w całości oddziałowi zakopańskiemu, którego wszystkie wybitniejsze okazy zostały pomieszczone w katalogu—albumie a dodać trzeba że stolarze warszawscy zaczęli naśladować styl zakopański. Wystawa ma trwać do połowy lipca.

— Na posiedzeniu miesięcznem War. Towarzystwa ogrodniczego, odbytem pod przewodnictwem dziekana Jurkiewicza zarząd postanowił wysłać do Radomia różne wskazówki, dotyczące wystawy ogrodniczej, mającej się tam odbyć. W listopadzie Towarzystwo urządzi w mieście naszym wystawę złoceń (chrysanthemum) na której cel wyasygnowano 400 rs. Komitet wystawy składają p. p. T. Kaczyński, F. Szanior i Ostrowski. Na zakończenie posiedzenia omawiono sprawę zapisu ś. p. Paprockiej.

— Z powodu panującej suszy zabronionem zostało puszczanie fajerwerków, oraz rozkładanie ognisk w lasach i zaroślach.

— W ubiegłą niedzielę rozpoczęły się w Krakowie zbiorowe ćwiczenia gimnastyczne. W wilią dnia tego odbyło się poświęcenie powiększonego znacznie gmachu gimnastycznego przy bardzo znacznym zjeździe gości. Jesienne wyścigi klubu „Jazdy panów“ odbędą się w pierwszych dniach października i trwać będą dni dwa; spodziewają się tu znacznej liczby przyjezdnych. Wybory do rady miejskiej już ukończone; na sześćdziesięciu członków rady zasiada tu jedenastu profesorów uniwersytetu.

— D-r Ludmił Korczyński, syn profesora, otrzymał godność docenta.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 10-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Schronienie dla Nauczycielek w Warszawie, przez Szczęsną. — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Książki dla młodzieży, przez M. I. — **Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego. — **Przegląd piśmienniczy.** — Dopełnienie sprawozdań z Wystawy hygienicznej, przez Władysława Nowickiego. — **Wędrowka przez Węgry.** — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 10-ty. — Przegląd mód. 37 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozycja stołu.